



fot. domena publiczna

Adolf Menzel, *Parisier Wochentag*, 1869,
olej na płótnie, 48,4 x 69,5 cm, Museum Kunstpalast Düsseldorf, Niemcy

Bolesław Prus *Lalka*

(Wolne lektury)

– Patrzaj – mówi Suzin – to **ulica Lafayette**, a ot **bulwar Magenta**. Jedziemy wciąż Lafayettem aż do hotelu przy **Operze** (...)

„Trzy i pół godzin! – pomyślał. – Coś trzeba z nimi zrobić...” (...)

Wyszedł przed bramę i zatrzymał się na chodniku. Ulica szeroka, wysadzona drzewami. W jednej chwili przelatuje około niego ze sześć powozów i żółty omnibus, naładowany podróżnymi wewnątrz i na dachu. **Na prawo**, gdzieś bardzo daleko, **widać plac**, na lewo – pod hotelem – niedużą markizę, a pod nią gromadę mężczyzn i kobiet, którzy siedzą przy okrągłych stoliczkach, prawie na chodniku, i piją kawę. (...)

Wokulski idzie w lewo i za węglem tego samego hotelu, w tymże samym hotelu, widzi drugą markizę i drugą gromadę ludzi, pijących coś, obok chodnika. Tu siedzi ze sto osób, jeżeli nie więcej. (...)

Wokulski znajduje się **na środku placu, z którego rozchodzi się siedem ulic**. Liczy raz i drugi – siedem ulic... Gdzie iść?... Chyba w kierunku drzew... Akurat dwie ulice, przecinające się pod kątem prostym, są zadrzewione...

„**Pójdę w kierunku ściany hotelu**” – myśli Wokulski.

Robi pół obrotu w lewo i staje zdumiony.

W głębi na lewo widać jakiś potężny gmach.

Na parterze – szereg arkad i posągów, na pierwszym piętrze olbrzymie kolumny kamienne i nieco mniejsze marmurowe, ze złożonymi kapitelami. Na wysokości dachu w kątach orły i złożone posągi, unoszące się nad złożonymi figurami rozhukanych koni. Dach bliżej płaski, dalej kopuła zakończona koroną, a jeszcze dalej – dach trójkątny, również dźwigający na szczycie grupę figur. Wszędzie marmur, brąz, złoto, wszędzie kolumny, posągi i medaliony...

„Opera?... — myśli Wokulski. — Ależ tu jest więcej marmurów i brązów aniżeli w całej Warszawie!...” (...)

W tym miejscu **ulica nieco zgina się na prawo**. Wokulski pierwszy raz spostrzega dom trzypiętrowy i wypełnia go jakaś rzewność. Dom trzypiętrowy między pięciopiętrowymi!... cóż to za miła niespodzianka!...

Wokulski idzie dalej i z największą uwagą przypatruje się kamienicom. Cóż tu za sklepy!... Najlichszy z nich lepiej wygląda aniżeli jego, który jest najpiękniejszym w Warszawie. Domy ciosowe; prawie na każdym piętrze wielkie balkony albo balustrady biegnące wzdłuż całego piętra.

(...) Po jednogodzinnym pobycie na ulicy stał się zwyczajną kroplą paryskiego oceanu.

„To i lepiej!” — mruczy.

Do tej chwili co kilkadziesiąt kroków, na prawo i na lewo, rozsuwały się domy i **widać było jakąś boczną ulicę**. Teraz jednolita ściana domów ciągnie się przez kilkaset kroków. Zaniepokojony, pośpiesza i ku wielkiemu zadowoleniu dociera nareszcie do bocznej ulicy; skręca trochę na prawo i czyta: **Rue St. Fiacre**.

Uśmiecha się, przychodzi mu bowiem na myśl jakiś romans Pawła Kocka. Znowu boczna ulica i znowu czyta: **Rue du Sentier**.

„Nie znam” — mówi do siebie.

O kilkadziesiąt kroków dalej widzi: Rue Poissonniere, która mu przypomina jakąś sprawę kryminalną, a potem cały szereg krótkich uliczek wychodzących naprzeciw teatru „Gymnase”.

„Cóż to znowu?...” — myśli, spostrzegłszy na lewo ogromny budynek, niepodobny do żadnego z tych, jakie znał dotychczas. Jest to olbrzymi prostokąt z kamienia, a w nim brama z półkolistym sklepieniem. Oczywiście brama, która stoi na przecięciu się dwu ulic. Obok niej budka, gdzie zatrzymują się omnibusy; prawie naprzeciw kawiarnia i chodnik oddzielony od środka ulicy krótką, żelazną balustradą.

O paręset kroków dalej druga podobna **brama, a między nimi szeroka ulica, ciągnąca się na prawo i lewo**. Ruch nagle potęguje się; tedy bowiem przejeżdżają aż trzy gatunki omnibusów i tramwaje.

Wokulski spogląda na prawo i znowu widzi dwa szeregi latarni, dwa szeregi kiosków, dwa szeregi drzew i dwa szeregi pięciopiętrowych domów ciągnących się na długość Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata. Końca ich nie widać, tylko gdzieś het, daleko, ulica podnosi się ku niebu, dachy zniżają się ku ziemi i wszystko znika.

„No, choćbym miał zbłądzić i spóźnić się na sesję, pójdę w tamtą stronę!...” — myśli.

(...)

Siły opuszczają go, a nawet pamięć. **Stoi na przecięciu się dwu ulic wysadzonych drzewami** i absolutnie nie wie, skąd przyszedł. Ogarnia go strach paniczny, znany ludziom, którzy zbłądzili w lesie; szczęściem, nadjeżdża jednokonka, której furman uśmiecha się do niego w sposób bardzo przyjacielski.

— **Grand Hotel** — mówi Wokulski, siadając.